Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 68 (2164) 25 sierpnia 1972 r. Cena 50 gr

MOWA BUKIETU

Mieszkańcy Sumatry potrafią przekazywać sobie wiadomości bukietami. Oto wybierają rośliny noszące odpowiednie nazwy i układają z nich wiązanki — listy. Dziewczyna najbardziej cieszy się z bukietu rezedy, pokrzyw, szczypioru i selera. To bowiem może znaczyć: „Będę cię zawsze kochał".

MOWA DYMU

Indianie potrafią rozmawiać dymem z ognisk. Dym, zależnie od dodatków i sposobu palenia ogniska może być różnej intensywności, różnych odcieni, iść w różnych kierunkach, słać się, kłębić, walić prosto w niebo. Dymem można m. in. przestrzec przed niebezpieczeństwem, przesłać zaproszenie, zawiadomić o liczebności i kierunku poruszania się stada.

MOWA SKRZYDEŁ

Położeniem skrzydeł wiatraka holenderscy młynarze przekazują różne wiadomości. Skrzydła mogą mówić: „Jadą goście", „Żono wracaj", „Mam dziś urodziny", „Dzień dobry sąsiedzie". Jeden z młynarzy przekazał wiadomość żonie, która wybrała się do miasta: „A nie zapomnij kupić mi pół funta tabaki".

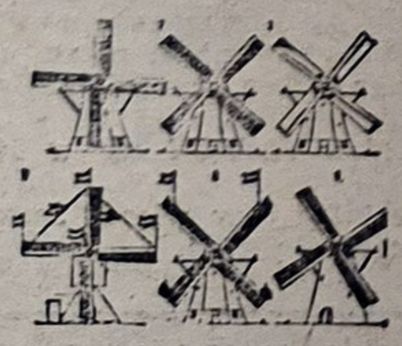

Reportaż spod śmigła

W moim pokoju, oparte o ścianę, stoi śmigło od samolotu. Śmigło jest stare, chociaż nie ma zbyt wielu lat, bowiem samoloty starzeją się szybciej i na ogół żyją krócej niż ludzie.

Niektórzy goście odwiedzający mój dom na ten niecodzienny rekwizyt patrzą z zainteresowaniem, inni z domieszką ironii...

„CSS-13"

Nie upłynęło od tamtej chwili tak wiele lat i nie trzeba wytężać pamięci, żeby przypomnieć tamto upalne lipcowe przedpołudnie. Kombinezon przykleja się do pleców. Na plecach spadochron PD-47 — waga szesnaście kilogramów. Na brzuchu zapasowy — kilogramów sześć. Nogi obute w ciężkie „traktory", na głowie hełm.

Oto zbliża się czas sprawdzianu. Instruktor prowadzi mnie do samolotu.

C. d. na str. 4–5

LATO LEŚNYCH LUDZI

PLON niesiemy, PLON...

Kierowcy autobusów jadących tamtego ranka do Stargardu Szczecińskiego otwierali ze zdumienia usta.

— A dokąd ty, bracie, jedziesz? — pytali małych pasażerów, patrząc z podziwem na okazałe dożynkowe wieńce.

— To już u was po żniwach? — powątpiewały sędziwe pasażerki. — I co, macie dożynki? A gdzie? A kto? — pytaniom nie było końca.

C. d. na str. 3

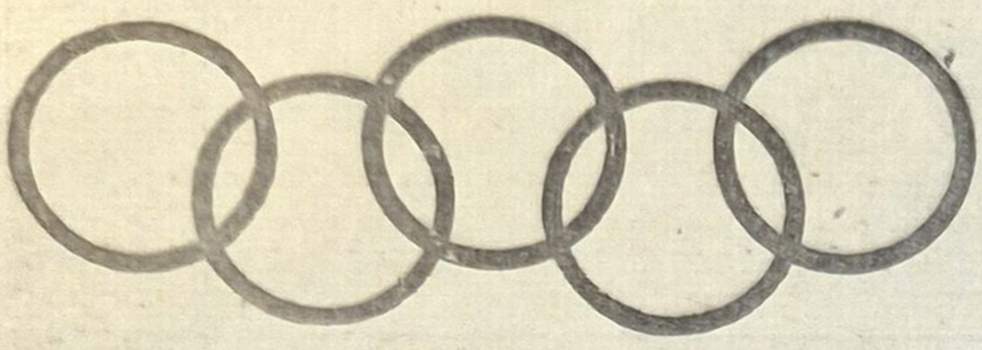

JUTRO ZAPŁONIE OLIMPIJSKI ZNICZ

MINĘŁO 80 LAT od chwili, kiedy Pierre de Coubertin zaapelował o wskrzeszenie nowożytnych olimpiad. Od tego czasu odbyło się 16 Igrzysk. Nie na każdych interpretowano właściwie szlachetną ideę Francuza. W kaizerowskich, później hitlerowskich, Niemczech podporządkowano ją brutalnej polityce, mającej na celu udowodnienie światu rzekomej wyższości germańskiej rasy. Trzy razy Igrzyska nie odbyły się ze względu na wojny. Niemniej zachowano kolejną numerację olimpiad, tak jakby nie było żadnych przerw. Monachijska impreza będzie miała więc numer dwudziesty.

Polscy olimpijczycy zdobyli dotąd 96 metali (na Igrzyskach letnich), w tym 21 złotych. Ten bogaty dorobek niewątpliwie się powiększy. Życzymy biało-czerwonym, by jak najczęściej stawali na olimpijskim podium, a Mazurek Dąbrowskiego rozlegał się na wszystkich monachijskich obiektach. Pragniemy, by XX Igrzyska stały się prawdziwą manifestacją pokoju i przyjaźni między narodami.

KRAMIK CIEKAWOSTEK

Pięć olimpijskich kół symbolizuje więź pięciu kontynentów: Europy — kolor niebieski, Azji — żółty, Afryki — czarny, Australii — zielony i Ameryki — czerwony. Po raz pierwszy olimpijską flagę wciągnięto na maszt podczas Igrzysk w Antwerpii, w roku 1920.

*

Znicz olimpijski przenoszony jest z miasteczka Olimpia, położonego u stóp wzgórza Kronosa (Grecja). „Święty ogień" transportowany jest do miejsca Igrzysk przez gigantyczną sztafetę biegaczy. Na stadionie w Melbourne — 1956 r. znicz zapalił jeszcze nikomu wówczas nieznany Ron Clarke. W Tokio tego zaszczytu dostąpił 19-letni Joszinori Sakai, który urodził się w Hiroszimie w dniu, kiedy spadła tam bomba atomowa. Był to swoisty protest gospodarzy Igrzysk przeciw zbrojeniom i wojnie. Podczas Igrzysk w Meksyku po raz pierwszy znicz zapaliła kobieta — Basilio Sotelo. Tym sposobem Meksykanie podkreślili bardzo ważny dla swego kraju problem — równouprawnienie kobiet.

*

Pierwszy medal olimpijski w historii polskiego sportu zdobyła grupa kolarzy torowych: Franciszek Szymczyk, Jan Łazarski, Józef Lange i Tomasz Stankiewicz, którzy w wyścigu drużynowym na 4 km. wywalczyli na Igrzyskach w Paryżu (1924 r.) drugie miejsce.

*

W Monachium lekkoatleci startować będą na rekortanie, sztucznym tworzywie, podobno nawet lepszym niż tartan. Należy zatem spodziewać się nowych rekordów, szczególnie w konkurencjach biegowych. Czy ponownie przełamane zostaną bariery „ludzkich możliwości"?

*

Gospodarze tegorocznych Igrzysk uczynili wszystko, by były one najdoskonalsze pod każdym względem. Na supernowoczesne obiekty olimpijskie wydano ogromną sumę pieniędzy — 2 miliardy marek. Dla porównania: Igrzyska w Meksyku kosztowały 748 milionów, w Tokio — 288 milionów marek. Wszystkie obiekty są bardzo funkcjonalne, wyposażone w najnowsze zdobycze techniki — automaty, komputery, maszyny elektronowe. Specjalny komputer „Golem" udzieli zainteresowanym natychmiast niezbędnych informacji o Igrzyskach, uczestnikach i wynikach sportowych.

Typujemy polskich medalistów

Kto z Polaków ma szansę wywalczyć medal? Redakcja „Świat Młodych" przeanalizowała wyniki biało-czerwonych, skonfrontowała je z osiągnięciami sportowców całego świata. Naszym zdaniem z olimpijskimi medalami mogą wrócić:

ciężary: Zygmunt Smalcerz, Waldemar Baszanowski, Zbigniew Kaczmarek, Jan Wojnowski;
boks: Ryszard Tomczyk, Jan Szczepański, Janusz Gordat, Józef Reszpondek;
szermierka: Jerzy Pawłowski, Marek Dąbrowski oraz drużyna florecistów;
lekkoatletyka: Irena Szewińska, Ewa Gryziecka, Danuta Straszyńska, Bronisław Malinowski, jedna ze sztafet;
strzelectwo: Józef Zapędzki, Adam Smelczyński;
wioślarstwo: Grzegorz Śledziewski, Jerzy Opara;
judo: Antoni Zajkowski;
łucznictwo: Irena Szydłowska, Maria Mączyńska;
kolarstwo: Ryszard Szurkowski, drużyna szosowców.

Urok sportu polega na niespodziewanych wynikach, na pojawianiu się „czarnych koni", którzy wbrew opiniom, jak Wojtek Fortuna w Sapporo, pokonują faworytów. Oby wśród nich znalazło się jak najwięcej Polaków.

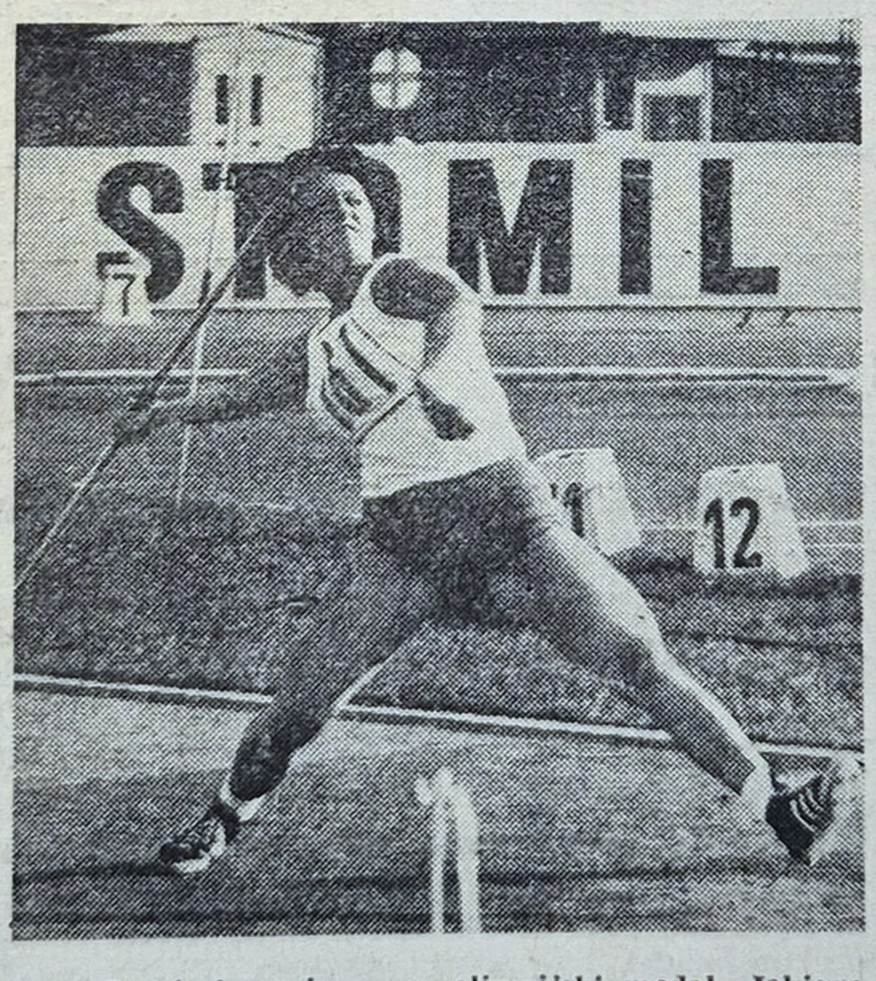

Ewa Gryziecka mierzy w olimpijski medal. Jakiego on będzie koloru, dowiemy się niebawem. Foto: CAF

MEDALOWI REKORDZIŚCI

Poniżej przedstawiamy dziesiątkę najlepszych polskich olimpijczyków (wszechczasów), którzy zdobyli największą ilość medali.

	złoty	srebrny	brązowy
Irena Szewińska — la	2	2	1
Jerzy Pawłowski — szerm.	1	3	1
Waldemar Baszanowski — ciężar.	2	—	—
Jerzy Kulej — boks	2	—	—
Józef Szmidt — la	2	—	—
Teresa Ciepły — la	1	1	1
Egon Franke — szerm.	1	1	1
Józef Grudzień — boks	1	1	—
Elżbieta Krzesińska — la	1	1	—
St. Walasiewiczówna — la	1	1	—

Pierwszy olimpijczyk

XX IO w Monachium są jedenastymi z kolei, w których udział biorą Polacy. „Świat Młodych" miał przyjemność rozmawiać z jednym z pierwszych w Polsce zawodników — olimpijczyków, startującym w Paryżu (1924) i Amsterdamie (1928), redaktorem **Zygmuntem Weissem** z „Przeglądu Sportowego".

— Panie Zygmuncie, w Paryżu startował pan na 100 i 200 m. Co było przyczyną, że nasza 14-osobowa ekipa lekkoatletów nie zanotowała w tym pierwszym występie poważniejszych sukcesów?

— Przyczyn było wiele. Najważniejszą chyba — całkowity brak przygotowania do zawodów. Ówczesny rząd wcale nie interesował się sportem. Brak nam było sprzętu, boisk treningowych. Jedyny stadion „Agrykola" przypominał raczej zwykłą łąkę... O opiece lekarskiej lepiej mówić nie będę, bowiem takowa nie istniała. Tak więc do Paryża wyjechaliśmy tylko po naukę.

— A jak wyglądały pierwsze zawody?

— Nie sposób porównać dzisiejszych Igrzysk do tych sprzed pół wieku. Dzisiaj sportowcy mają wszystko, czuwa nad nimi sztab naukowców, trenerów, lekarzy. Dawniej byliśmy osamotnieni. Pamiętam doskonale moje starty podczas obu Olimpiad. W Paryżu byłem mocno stremowany, kiedy po 32-godzinnej podróży wagonem II klasy stanąłem w... dołkach startowych; nogi dosłownie wrastały w ziemię. W takiej sytuacji musieliśmy przegrać. Podobnie było w Amsterdamie.

— W Holandii startował pan na 400 m i w sztafecie 4 x 400 m. Obie te konkurencje wygrali Amerykanie. Czy rzeczywiście byli bardzo silni?

— Te zwycięstwa były jedynymi sukcesami Amerykanów w konkurencjach biegowych, a Barbutti rzeczywiście był fenomenalny. My cieszyliśmy się ze złotego medalu Haliny Konopackiej w rzucie dyskiem. Poza tym nasza ekipa wywalczyła jeszcze jeden medal srebrny i trzy brązowe.

— A ile medali zdobędziemy w Monachium?

— Na pewno kilka razy więcej. Jesteśmy przecież sportową potęgą.

Kolumnę opracował:
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

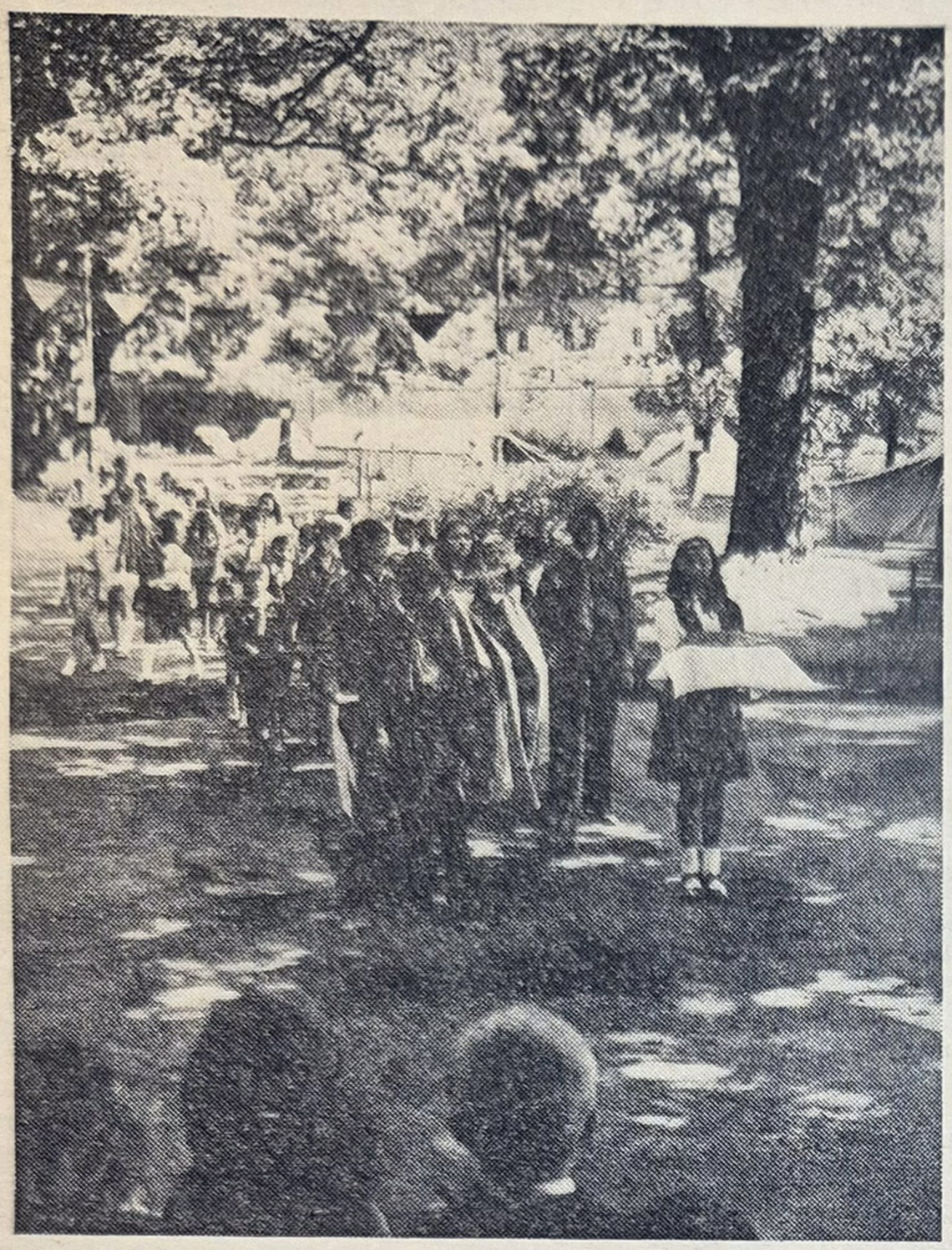

Po żniwach gospodynie pieką duży bochen chleba i wręczają go na dożynkach dostojnemu gościowi. Jeśli chleb wygląda smakowicie, jest pulchny i wyrośnięty, to oznacza, że żniwa się udały i zbiory były okazałe. Na zdjęciu: Danusia Szyndlarewicz z Kobylanki niesie tradycyjny dożynkowy bochen chleba.

Ciekawe czy na prawdziwych dożynkach, które odbędą się w pierwszych dniach września znajdą się równie misterne i piękne wieńce. I czy dorośli żniwiarze potrafią tak wesoło i ładnie śpiewać? W każdym razie mają wśród harcerskiej braci ze Stargardu poważnych konkurentów.

deszcz. No i już po żniwach. Gdyby taka ulewa wczorajsza lunęła na zboże, to szkoda gadać...

Chłopcy zgodnie kiwają głowami, potakują. Tadek stara się mówić poważnym, basowym głosem i zaciska mocno zgrubiałe od pracy dłonie, tak jakby jeszcze w nich trzymał sierp i żął zboże.

Poprzedniego dnia nad miastem i przyległymi wsiami przeszła gwałtowna burza, najpierw lunął deszcz, później spadł grad. Nic dziwnego, że rozmowy toczą się wokół pogody. Tegoroczne lato przyniosło sporo strat, zboże wyległo, tylko gdzieniegdzie pracowały więc kombajny i ludzie najczęściej kosili zboże ręcznie, tym bardziej więc potrzebowali pomocy najmłodszych.

Ania Gumna pełni rolę gospodyni dzisiejszej uroczystości. Za chwilę będzie przemawiać. Po cichutku powtarza tekst i zamartwia się, czy wszystko się uda. To dopiero byłby wstyd, gdyby się zająknęła! Najwięcej martwiłaby się mama. Bo mama Ani jest najmocniej wprowadzona w sprawy zastępu, zawsze służy radą, umie w odpowiednim momencie podszepnąć jak zorganizować zwiad żniwny, kto potrzebuje pomocy. Teraz też dobierała razem z córką kłosy do dożynkowego wieńca.

Dożynkowe wieńce też mają swoją historię. Np. chłopcy z Sadłowa, którzy pomagali pewnemu starszemu gospodarzowi w żniwach, otrzymali od niego najpiękniejsze kłosy. Podobno sam chodził do stodoły i długo je wybierał, a później sprawdzał, czy wieniec prezentuje się okazale.

Zbliża się godzina 11.00. Na trybunę wchodzą goście, rozlega się przeciągły głos trąbki, następuje uroczyste otwarcie dożynek. W niebo strzelają raz po raz rakiety. Tadzik Podgórski razem z Romkiem Żołędziem wypuszczają dwa śnieżnobiałe gołębie. Głos zabiera Ania. Mówi wyraźnie, dobitnie. Szkoda, że mama jej nie słyszy. Na plac wchodzi dożynkowy korowód. Idą dostojnie, równym krokiem. Zbliżają się do trybuny. Ze wszystkich stron słychać pieśń:

Plon niesiemy plon
w gospodarza dom
To zastępy NAL-u kroczą
gospodarzom wieńce niosą,
pracę swoich rąk.

Do druha hm Ryszarda Dobrowolskiego z Komendy Chorągwi Zachodnio-Pomorskiej ZHP podchodzi gospodyni z chlebem dożynkowym. Rozpoczyna się składanie wieńców. Idą najmłodsi żniwiarze ze Sztabu NAL w Stargardzie, ze stanicy przy Domu Kultury, ze wsi Kobylanki, z Sadłowa...

Druh Ryszard mocno trzyma ogromny bochen chleba. Dziękuje żniwiarzom za trud i pomoc. Obiecuje, że chleb sprawiedliwie zostanie podzielony między wszystkich ludzi w kraju.

Potem zaczynają się skoczne tańce, śpiewy. Gospodyni zaprasza wszystkich na poczęstunek, a później na festyn. Długo w parku stargardzkiego Domu Kultury trwała wesoła zabawa.

ROMA JABŁOŃSKA
Foto: W. Juzwik

Lato Leśnych Ludzi

PLON niesiemy, PLON...

NAL

C. d. ze str. 1

Leśni ludzie odpowiadali uprzejmie z nie byle jaką dumą. Bo było o czym opowiadać i co oglądać.

12 sierpnia zjechały się ze wszystkich wiosek powiatu stargardzkiego delegacje wakacyjnych zastępów, by wziąć udział w drugim już dorocznym Święcie Plonów. Prawie stu delegatów przywiozło z sobą meldunki o udzielaniu stałej pomocy przy żniwach ludziom starszym, a także rodzicom i krewnym. Dziewczęta ubrały się w kolorowe chusty, by wyglądać tak, jak przystało prawdziwym gospodyniom. Chłopcy założyli odświętne białe koszule, zamiast krawatów zawiązali długie, czerwone wstążki.

W parku stargardzkiego Domu Kultury między drzewami zawieszono różnokolorowe chorągiewki, nad trybuną umieszczono napis: „II Powiatowe Dożynki NAL-1972".

Tłum wypełnia alejki parku, Tadek Podgórski siedzi na ławce i rozmawia ze znajomymi.

— Dobrze, że dziś nie pada

II Międzynarodowy Turniej Piłkarski o Puchar „Świata Młodych"

„Czarne Perły" i „Żbiczki" w Finale

ZGODNIE z naszymi przewidywaniami otrzymaliśmy bardzo wiele wykazów od drużyn uczestniczących w Turnieju Piłkarskim. 12 zespołów legitymowało się jednakową ilością rozegranych meczy — po 129. Spośród tych drużyn „Czarne Perły" z Krosna (woj. rzeszowskie) oraz „Żbiczki" z Nasielska (woj. warszawskie) wylosowały najszczęśliwiej, zakwalifikowały się do finału krajowego. Do spotkania między tymi zespołami dojdzie już w najbliższą niedzielę w Kielcach. Zwycięzca będzie reprezentował nasz kraj w meczach z piłkarzami węgierskimi.

„Czarne Perły" już po raz drugi uczestniczyć będą w finale krajowym. W ubiegłym roku, jak wiadomo, zwyciężyli piłkarze z Krzyża Wlkp.

„Żbiczki" stanowią zgrany kolektyw i będą groźnym przeciwnikiem dla chłopców z rzeszowskiego.

Do zobaczenia w Kielcach!

WOJTEK POPRZECZKA

KLUB JAZDY KONNEJ DLA DZIECI

W stolicy Czechosłowacji powstał pierwszy klub jazdy konnej dla dzieci. Młodzi mieszkańcy Pragi zdobywają tajniki tego popularnego sportu na koniach — kucykach. Radości przy tym jest bardzo dużo. Członkowie klubu, którzy już bardziej opanowali znajomość jazdy konnej urządzają nawet wyścigi. Często dochodzi do niezwykłych wyczynów akrobatycznych (patrz zdjęcie). Nowo otwarty klub cieszy się dużą popularnością. Chętnych do wstąpienia jest coraz więcej. Ćwiczenia i treningi odbywają się pod kierunkiem doświadczonych instruktorów jazdy konnej.

Reportaż spod ŚWIGŁA

C. d. ze str. 1

CSS-13 *) nie jest najłatwiejszym samolotem dla nowicjusza. Trzeba wdrapać się na skrzydło, a potem przez dosyć wysoką burtę przedostać do pierwszej kabiny. W drugiej siedzi pilot. Tym razem jest nim świetny skoczek spadochronowy — Paweł Lipowczan. Siadam bokiem, żeby nie uszkodzić przyrządów pokładowych, miejsca jest bowiem mało. Serce mam w gardle i opuściło mnie poczucie humoru. Nim CSS nabierze wysokości jest czas na dokonanie życiowych rozliczeń. Od tego momentu zmienia się moje pojęcie wartościowania. Sprawy, które wydawały się ważne, tracą barwę i sens. Między niebem a ziemią poznam smak prawdziwej wolności, smak wyzwolenia się z najciaśniejszych węzłów pętających człowieka — z lęku.

Pilot ujmuje gazu. Silnik zaczyna terkotać. Samolot traci prędkość. Paweł uderzeniem dłoni w moje prawe ramię daje znać, że już pora. Teraz wstać. Obrót w prawo. Prawa dłoń na oparcie fotela. Lewa na krawędź burty. Obrót. Prawa noga na fotel. Żeby przesadzić nogę przez burtę muszę dopomóc sobie ręką. I już jestem na skrzydle. Jeden krok do krawędzi. Drugi krok. Zamykam oczy i skaczę. Szarpnięcie, jakby ktoś mi przyłożył tęgiego klapsa i oto szybuję między niebem i ziemią.

Słońce zachodzi, podświetla Warszawę, a daleko, za mostami, układa się lekka mgła. Zieleń ma niezwykle intensywny kolor, a niebo czysto niebieski. Jestem przepojona radością. Czuję się jak władca przestworzy, który oto unosi się w powietrzu, bowiem taka jest jego wola.

„GAWRON"

„Gawron"*) przyciężkawy i przysadzisty długo straszył mnie zastrzałami łączącymi skrzydła z kadłubem. Ilekroć stawałam na stopniu gotowa do skoku, na widok zastrzałów robiłam błyskawicznie zwrot i leciałam byle jak, byle dalej od samolotu. Były to już skoki na opóźnione otwarcie spadochronu, więc przez kilka sekund wykonywałam „akrobacje", o jakich mistrzom świata się nie śniło. Aż kiedyś po takim właśnie skoku dopadł mnie „Dziadek". Pan Tadeusz Litwiński to człowiek o najdłuższym spadochronowym stażu. Otóż „Dziadek" poprosił mnie kiedyś na bok i po prostu nawymyślał:

— Czy pani nie wstyd? Spada pani jak worek pełen sieczki. Tylko proszę się nie obrażać! Od czego ma pani ręce? Od czego nogi? Trzeba nimi sterować, albo nie skakać w ogóle! Proszę jutro przyjść na lotnisko. Pani przecież nie umie opuszczać samolotu!

Uczyłam się więc wchodzić do „Gawrona" i prawidłowo go opuszczać. Siódme poty na mnie biły, chociaż byłam bez spadochronów, nim pan Litwiński stwierdził: — No, teraz to już jest jako tako...

„WILGA"

„Wilgę"*) po raz pierwszy zobaczyłam na obozie spadochronowym w Kroczewie.

Spływała z góry ze słońcem, piękna i lekka jak ważka-szklarz, którą w letnie popołudnie zobaczyć można nad jeziorami. Elegancka, urokliwa, nabierająca szybko wysokości — zjednała nasze serca całkowicie. Pierwszy z niej skok robiłam o świcie. Dzień zapowiadał się upalny i na dziewięciuset metrach płynęły lekkie jak wata z cukru, obłoczki. „Wilga" te obłoczki brała pod skrzydła, by mknąć z nami na tysiąc dwieście metrów.

Nie ma skoków bez emocji. Jednak ta emocja przy każdym skoku jest inna. Raz po prostu człowiek robi głupie miny, paple byle co i struga bohatera, innym razem czuje watę w kolanach, lub stwierdza, że ma dwie dusze, a każda z nich siedzi na ramieniu. Każdy skok wymaga koncentracji wewnętrznej, każdy stoczenia wewnętrznej walki. Ten właśnie rodzaj sportu uzależniony jest bardziej niż inne od siły i umiejętności opanowania nerwów. Jest w nim hazard.

„ANTEK"

Wrzesień był chłodny i wietrzny, ale obiecałam sobie, że na Dzień Wojska zrobię reportaż ze skoku w Dywizji Powietrzno - Desantowej. Tak się w
szczęśliwi
zwolenie
Bordziłow
łam się
przyglądaj
uważnie,
ręką i rze
wschodnie
— Nu,
niech ska
niech też
chce. Tyl
napiszy,
nie będzi
Wiatr,

*) CSS-13 — samolot transportowy.
*) „Gawron" — samolot szkolno-treningowy.
*) „Wilga" — samolot sportowy.

Wieża Babel NAD Bugiem

Wolne ludy świata! Mamy dziś zawrzeć braterstwo krwi. Czynimy to na znak przyjaźni. Kto je zawiera, obiecuje w ten sposób, że zawsze pośpieszy z radą i pomocą swemu przybranemu bratu. Jesteście gotowi?...

Na polanie nad Bugiem istna wieża Babel. Dziś Festyn Przyjaźni. Przybywają ludy ze wszystkich stron.

Oto wkraczają, a właściwie wpadają przedstawiciele Afryki. W dzikim rytmie, przy dźwiękach tam-tamów nogi same poruszają się w tańcu omokkomo, który symbolizuje siłę i wierność. W rękach dzidy, na biodrach spódniczki z rzecznego sitowia. W czarnych twarzach błyszczą tylko białka oczu i czerwone usta, które wykrzykują do taktu w sobie tylko znanym języku. Wreszcie zmęczeni ustępują miejsca Beduinom.

Ci nadchodzą majestatycznie całą karawaną. Na przodzie przewodnik w turbanie prowadzi wielbłąda, na którym siedzi najmłodsza Arabka z kwefem na twarzy. Wielbłąd wygląda jak prawdziwy, tylko zamiast kopyt, spod koca wystają mu... granatowe trampki. Za wielbłądem posuwa się reszta karawany niosąc wspólnie wielki tobół. Zatrzymują się na środku placu. Ręce, dotąd skrzyżowane na piersiach podnoszą się w górę z prośbą: „Allach nasz wódz, Allach nasz pan, Allachu pomóż nam sprzedać cały kram". Rozpakowują swój tobół. Są w nim rekwizyty do opowieści z obozowego życia: zapałka od namiotu, którą wartownik sam uderzył się w głowę, kocioł w którym zupa spaliła się na węgiel... Płyną piosenki i opowiadania. Nie wiem, czy Allach przykładał do tego rękę, ale sprzedali cały kram bardzo szybko.

Nagle na polanę wtaczają się dwie bardzo dziwne postacie. Od dołu wprawdzie mają normalne nogi, ale zamiast głowy latające talerze.

— Marsjanie, Marsjanie przylecieli! Wnet otacza ich tłum. Każdy jest ciekawy, w jaki sposób dostali się do obozu harcerskiego „Kopernikowo" w Mierzwicach. Marsjanie wprawdzie coś odpowiadają, ale kto ich zrozumie — marsjańskiego przecież nie uczą w żadnej szkole. W końcu znalazł się jednak tłumacz. Okazało się, że goście z kosmosu wykorzystali spec-

wówczas dla mnie
e złożyło, że ze-
wydawał generał
ski. Kiedy zjawi-
w jego gabinecie,
mi się chwilę
w końcu machnął
ekł zaciągając „po
emu":

jak się nie boi,
czy, a jak się boi
skaczy jak tak
ko pismo niech
ze pretensji mieć
jakby co...

ziąb i przemarz-

nięte chłopaki. Oni robili swój drugi skok. Ja — dziewiąty. Szczęka latała mi z zimna i ze strachu, że piekielna wichura zniweczy moje zamiary. Ubezpieczona byłam od wypadku na kilka zaledwie dni, a zezwolenie na skok również było ograniczone terminem.

Czekaliśmy przez kilka godzin, a wraz z nami gotowe do startu AN-y 2*). Jeszcze w Warszawie trenowałam prawidłowe opuszczanie „Antka", bo co tu dużo mówić, w czasie pierwszego mojego skoku z AN-a zostałam po prostu wypchnięta przez instruktora, bowiem właśnie wtedy nawiedził mnie „próg lęku" — wraże uczucie dobrze znane wszystkim spadochroniarzom, nie wykluczając mistrzów świata. Człowiek po prostu po którymś kolejnym skoku, czasem jest to skok drugi, czasem trzeci lub dalszy, „rozmyśla się" jest w samolocie i nie chce skakać za żadne skarby.

Przed wieczorem wiatr ucichł, „Antki" ruszyły na start, my za nimi. Dodam jeszcze, że moim głównym spadochronem był spadochron D-1: wojskowy, o okrągłej nakrapianej czaszy.

Skakałam na linę — tak sobie życzyli dowódcy — w pierwszym wylocie, jako pierwsza. Niespodziankę sprawił mi od razu instruktor każąc mi stać przy samych drzwiach i obserwować uciekającą ziemię. Drugą niespodziankę stanowił sygnał. Kiedy „Antek" nachodził na miejsce zrzutu, w samolocie rozległ się dźwięk ni to trąbki, ni to klaksonu, a nad drzwiami zapaliły się lampki — rozkaz do skoku.

Szurnęłam w otwór drzwiowy, że tylko mignęło. D-1 ma około 80 metrów kwadratowych powierzchni. Ja ważyłam w owym czasie 50 kilogramów. Wojsko skakało z oprzyrządowaniem, a poza tym miało swoją wagę. Ostatni skoczkowie dawno już maszerowali ze zwiniętymi spadochronami, a ja ciągle jeszcze płynęłam w powietrzu, gapiąc się na to wszystko z góry...

*

Nie jestem ani lotnikiem, ani konstruktorem. I tych skoków też nie posiadam tak wiele. A jednak los mój sprzągł się z samolotami, i one wyznaczają kierunek mego działania.

A to śmigło, które zajmuje poczesne miejsce w moim pokoju, jest śmigłem z samolotu, z którego wykonywałem swój pierwszy w życiu skok...

WIESŁAWA MROCZEK
Rys. J. Rocki

CSS-13 — dwumiejscowy dwupłat budowany w latach pięćdziesiątych na licencji radzieckiej, był po prostu ulepszonym „kukuruźnikiem", znanym samolotem-bohaterem z okresu ostatniej wojny.

PZL-101 „GAWRON" — wielozadaniowy samolot polskiej konstrukcji. „Gawrony" świetnie zdają egzamin w służbie rolniczej — przy opylaniu, sanitarnej — jako latające karetki pogotowia oraz w aeroklubach.

PZL-104 „WILGA" — wielozadaniowy samolot polskiej konstrukcji, zabiera na pokład oprócz pilota trzech skoczków.

AN-2 — wieloosobowy wielozadaniowy dwupłat. W roku 1960 ZSRR przekazał nam licencję AN-2 i od tamtej pory wyprodukowaliśmy ich ponad 5 tysięcy sztuk, głównie na eksport, dla celów rolniczych. „Antek" jest najlepszym w świecie samolotem do szkolenia skoczków spadochronowych.

jalną rakietę, aby obejrzeć życie harcerskiej gromady. Spodobało im się tak bardzo, że zapragnęli wziąć udział w Festynie Przyjaźni.

— Przynosimy wam pozdrowienia od wszystkich braci z innych planet — mówią. Szkoda, że nie potrafię wam napisać jak brzmiało to po marsjańsku.

— Wolne ludy świata! Na znak braterstwa symbolicznie nakłujcie sobie serdeczny palec i związcie rękami mocny krąg. Niech jednakowa krew płynie we wszystkich żyłach, niech brat bratu zawsze bratem będzie. Od tej chwili łączą nas więzy przyjaźni. Nie złamcie nigdy zawartego teraz przymierza!

Patrzyłam na mocno splecione ręce, na poważne oczy i widziałam, że teraz już nie żartują, że przyjaźń łączy ich naprawdę, że zawiozą ją do domów jako zdobycz z harcerskiego obozu.

Tekst: HANNA CUDOWSKA
Foto: Kajetan Adamowski

DRAMATYCZNA WALKA O ŻYCIE DONATELLI

NIEZWYKŁĄ historię 14-letniej Donatelli interesują się bez przesady wszyscy Włosi. Opisy jej walki o życie, poświęcenia rodziców, zapełniają szpalty gazet i czasopism. Pisała o tym i polska prasa. Przed dwoma laty wydawało się, iż poświęcenie jej ojca przyniesie w efekcie sukces. Stało się jednak inaczej... Oto pokrótce historia małej Donatelli.

W czwartym roku życia dziewczynka ciężko zachorowała. Lekarze stwierdzili niewydolność nerek. Nie pomogły żadne próby leczenia. Na nic zdała się pomoc wybitnych specjalistów. Stan Donatelli pogorszył się do tego stopnia, iż trzeba było dokonać usunięcia nerek... Donatella żyła dzięki podłączeniu organizmu do sztucznej nerki...

Już wówczas dziewczynka ujmowała wszystkich swym stosunkiem do cierpień. Pogodna, dodawała otuchy rodzicom i starszej siostrze. Ojciec rozpaczliwie szukał ratunku. Aż wreszcie, kiedy Donatella ukończyła dwunasty rok życia, lekarze z Lyonu zdecydowali się na trasplantację nerki. Dawcą był własny ojciec. Operację poprzedziły dokładne, długotrwałe badania. Wszystko wskazywało na to, że operacja uda się. Sama operacja przebiegała pomyślnie. I kiedy już zdawało się, że wszystko skończy się pomyślnie, organizm odrzucił przeszczep i dziesięć dni po operacji Donatellę przewieziono ponownie na salę operacyjną, aby usunąć odrzuconą przez organizm nerkę...

Na nic zdało się poświęcenie ojca. Okazało się, iż sprawy odrzutów przy przeszczepianiu nerek są podobne do wielokrotnie opisywanych odrzutów przeszczepionych serc. Ale rodzice nie załamywali się. Nie załamywała się i Donatella. Zaczęto poszukiwania takiej kliniki, która by podjęła się ponownej transplatacji. Trzeba było znaleźć innego dawcę.

Długotrwałe poszukiwania dały wreszcie rezultaty. Oto lekarze szwajcarskiej kliniki w Genewie podjęli się zadania. Specjalista chorób nerek, Favre i chirurg Megevand przystąpili do badań, decydując się na dokonanie operacji.

Nie trzeba chyba opisywać, co przeżywali rodzice czekający pod drzwiami sali operacyjnej. Czy się uda?... Czyż i tym razem organizm odrzuci przeszczep?...

Pierwsze słowa Donatelli skierowane po operacji do rodziców brzmiały: „Nie martwcie się! Tym razem każę nerce pracować i wszystko będzie dobrze!"

Po dziesięciu latach walki o życie Donatella nie straciła wiary. I oto nastąpił dzień powrotu do domu. Na lotnisku witały ją tłumy. Codziennie napływały depesze i listy z całego kraju.

Donatella trzy razy w tygodniu musiała wyjeżdżać do Genewy na badania kontrolne. I oto w czasie jednego z badań dziewczynka mdleje. Przebywała dwa dni w namiocie tlenowym. Na szczęście okazało się, iż nie były to komplikacje związane z nerką. Po dwudziestodniowym pobycie w klinice wróciła już do domu. W jedną z ostatnich niedziel Donatella dopingowała na stadionie w Turynie swoją ulubioną drużynę. Po meczu (wygranym) wdzięczni zawodnicy podarowali dziewczynce na pamiątkę piłkę, którą rozgrywali mecz...

Czy Donatella będzie mogła chodzić na dalsze mecze? Czy nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje? Czy dziesięcioletni okres walki o życie zakończy się zwycięsko? Wszyscy jej tego serdecznie życzą...

Oprac. jk.

Lok czarownik plemienia

A. M. LINIEWSKI — Tłum. J. Stykowski — 14

Tibu, niedawno wtajemniczony do grona myśliwych, uważany był — obok Loka — za mistrza w polowaniu na liniejące gęsi. O ile jednak Lok lubił takie polowania w pojedynkę, o tyle Tibu ciągnął chętnie za sobą całą chmarę rówieśników.

Prawdziwym myśliwym nie wypadało zajmować się polowaniem na liniejące gęsi. Zresztą mieli teraz poważniejsze zajęcie — gnietli surowe rzemienie i przygotowywali sprzęt łowiecki. Ale Tibu tak lubił polowanie na gęsi, że poprosił Au, by ten — ostatni już raz — puścił go na „gęsie łowy".

...Ktoś wytropił ptaka i przestraszywszy go, gonił tam, gdzie oczekiwała zasadzka. Cóż to była za zabawa! Gęś gęgała głośno ze strachu, dziewczęta gwizdały, chłopcy wydzierali się na całe gardło. Gąsiory były sprytniejsze, wbijały się w najgęstsze zarośla turzycy, która do krwi raniła nogi młodych myśliwych. Ale żyłka myśliwska była tak silna, że młodzież bez lęku wchodziła w najgęstsze zarośla, nie bojąc się nawet grząskich miejsc. A jeśli ptakowi udało się dopaść wody, rzucali się wpław za umykającą zdobyczą.

W tym roku Tibu powiódł swoją watachę na dalekie jeziorko, cieszące się złą sławą. Okrążały go grzęzawiska, a brzegi porastała gęsta trzcina. Bagno nie pozwalało dojść do wody ni ludziom, ni leśnej zwierzynie. Słowem — raj dla wodnego ptactwa.

Wśród młodzieży, którą przywiódł Tibu była Jasna Zorza, wnuczka czarownicy zmarłej wiosną z głodu. Tibu z radością wziął ją na polowanie. Dziewczyna uważana była za najzręczniejszą spośród wszystkich jej rówieśnic, i jej naszyjnik z kaczych dziobów dłuższy był od naszyjników innych dziewcząt. Jasna Zorza dumna była z tego, że prawdziwy myśliwy chce się z nią przyjaźnić. Jakoś tak się składało, że w czasie polowania na gęsi zawsze znajdowała się obok Tibu.

Wybrawszy pagórek na biwak, Tibu podzielił zadania, wskazał miejsca, w których mogły przebywać gęsi. Po dwoje, troje, cała grupa rozeszła się na stanowiska. Jasna Zorza znowu była z Tibu.

Skierowali się ku jednej z zatok jeziorka, zarosłej szczególnie gęstą i wysoką trzciną. Brzegi były tu tak bagniste, że nie przesychały nawet w najcieplejsze letnie dni. Zorza i Tibu brodzili w wodzie, skakali po twardszych kępach, ale czuli instynktownie, że czeka ich bogata zdobycz. Przecież tu nie dobierał się nigdy ani lis, ani ryś, gdyż obaj boją się wody.

Kiedy oboje zbliżyli się ku zaroślom, usłyszeli z prawa i z lewa dziwne dźwięki, przypominające pokaszliwanie. Takie dźwięki wydają z siebie dzikie gęsi w porze linienia.

Chociaż ani chłopak, ani dziewczyna nie powiedzieli ani słowa, oboje myśleli o tym samym: jak zdobyć najwięcej gęsi? Tym razem nie chodziło już o mięso, ani o pochwalenie się bogatą zdobyczą przed rówieśnikami. Ważne były gęsie dzioby. Wśród młodych panował od dawna zwyczaj darowywania w tajemnicy gęsich dziobów wybrańcowi swego serca.

W tym roku Jasna Zorza miała zbudować swą własną ziemiankę. Tibu też dotychczas mieszkał w ziemiance matki. Wręczenie dziewczynie naszyjnika z kaczych dziobów oznaczało oświadczyny, a przyjęcie daru — zgodę na przyszłe małżeństwo. Ale nie tylko chłopcy darowywali naszyjniki. Nie było wstydem dla dziewczyny zawieszenie naszyjnika z dziobów na szyi wybrańca. Tibu i Zorza, w tajemnicy jedno przed drugim, postanowili nawzajem obdarować się naszyjnikami.

W gęstych zaroślach niewygodnie było uganiać się we dwoje za jedną gęsią, więc Zorza i Tibu rozdzielili się. Dziewczyna wypatrzyła tłustego gąsiora. Ptak, chcąc uciec swej prześladowczyni, przedarł się przez gąszcz ku wodzie. Ale Zorza wiedziała, że pozwolić gąsiorowi znurkować, znaczy — stracić go na zawsze. Wyciągnąwszy rękę, skoczyła więc za ptakiem w zimną jak lód, grząską toń oparzeliska. Na szczęście w bagnie utkwiły tylko nogi dziewczyny, tułów oparł się na sieci korzeni roślin wodnych, które rosły tu w wielkiej obfitości. Na chwilę więc została ocalona, ale było to tylko odsunięcie momentu strasznej śmierci. Bowiem pod ciężarem jej ciała misterna siatka korzeni zaczęła się powoli rozchodzić.

Jasna Zorza zaczęła krzyczeć ,przywołując na pomoc Tibu. Nad głową dziewczyny monotonnie szeleściła turzyca i wydawało się, że krzyki więzną w ostrych liściach. Dziewczyna czuła, że pogrąża się coraz bardziej w topiel. Czy usłyszy ją Tibu? Zrozumie, skąd dobiega wołanie? Zdąży przyjść jej z pomocą? Jeszcze raz zawołała o ratunek, jeszcze raz zawezwała na pomoc swego przyjaciela. Woda zaczęła ziębić jej ciało, nogi grzęzły coraz głębiej w błotnistej topieli. Powoli udało się jej zmienić pozycję, położyć się na plecach w miejscu, gdzie sieć korzeni była jeszcze mocniejsza. Ale za chwilę powtórzyła się sytuacja... Czy więc nie nadejdzie ratunek?

Jasną Zorzę ogarnęła taka rozpacz i strach, że nawet przestała krzyczeć. Niech będzie, co ma być! Ale gdy błotnista bulgocąca woda sięgnęła jej szyi, dziewczyna z rozpaczy zrobiła ostatni wysiłek i przesunęła ciało na nowe, znów na parę chwil bezpieczniejsze miejsce...

Tibu usłyszał jej krzyki, ale nie od razu udało mu się dostać po grzęzawisku do dziewczyny. Najważniejsze, że zdążył dosłownie na ostatnią chwilę. Przywlókł trzy długie żerdzie. Położył je na kępach, sam ułożył się wzdłuż nich i złapał Zorzę za ręce. Ostrożnie, starając się nie czynić gwałtownych ruchów, powoli podciągnął dziewczynę ku sobie, podnosząc ją coraz wyżej i wyżej.

Nie wiedział, ile czasu minęło w tej walce z bagniskiem. Wreszcie grzęzawisko wypuściło ze swych zdradliwych macek nogi dziewczyny. Opierając się kolanami, Zorza wypełzła na żerdzie. Potem, trochę odpocząwszy, przypełznęli wraz z Tibu na pewniejszy grunt. Dziewczyna zaczęła suszyć swą mokrą odzież. Ciepłe słońce szybko rozgrzało ją i przepędziło zimne dreszcze.

Gdy wieczorem Tibu i Zorza wrócili na miejsce wspólnej zbiórki na pagórku, zrozumieli i oni i ich rówieśnicy, że gdy dziewczyna otrzyma nową ziemiankę, osiedli się w niej również Tibu.

Rys. M. Majewski

Starannie naśladując dorosłe kobiety, dziewczęta gospodarzyły u ogniska. Trzeba było oskubać ptaki, oczyścić z wnętrzności, poćwiartować, wreszcie uwędzić w gęstym dymie. Słowem, zrobić wszystko tak, jak robiły ich matki w rodzinnym koczowisku w czasie wiosennego polowania na gęsi.

Nie na darmo Au pozwolił Tibu wyjść na „gęsie polowanie" z obozu myśliwych. Jeszcze nigdy nie upolowano tylu ptaków, co teraz. Ale trzeba było wracać, by przygotować się do następnych, już o wiele poważniejszych łowów.

CDN.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie pisemne zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ul. Kopernika 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

Zam. 3293. A-70

Piosenka dla Marioli

O piosenkę „Jesteś blisko" z repertuaru Zdzisławy Sośnickiej — prosi Mariola z Krakowa — zamiłowana zbieraczka tekstów piosenek, których jak pisze, ma już około 100.

Muzyka: Piotr Figiel; słowa: J. Kondratowicz

JESTEŚ BLISKO

Jesteś, to mi wystarczy,
jesteś obok mnie
Połączył wicher nasze ręce
Jesteś, ciemnieją gwiazdy,
gasną iskry świec
Tylko nam serca biją coraz prędzej.

Jesteś blisko tak
tak bardzo blisko,
że twych dłoni się nie wstydzę,
że z twych oczu czytam wszystko.
Jesteś blisko tak
tak bardzo blisko,
że się pali nie nad nami
ale w nas
całe niebo, całe niebo gwiazd.

Moje tajemnice

KAPELUSZ NIE TYLKO OD PARADY

— Cześć Jolka, czym się martwisz?

— Nie martwię się, tylko głowa mnie boli...

— Pewnie przegrzałaś na słońcu, pewnie z gołą głową siedziałaś na plaży, pewnie...

— Zupełnie jakbym moją mamę słyszała, nawet mi kazała nosić kapelusz, popatrz, wygrzebałam jakieś dwa okropne, wyglądam w nich jak sierota...

— Bo nie umiesz go kłaść; takie mięciutkie płócienne kapelusiki układają się jak tylko chcesz, popatrz jak mi w nim świetnie! Wiesz, będę w nim chodziła, jest cudowny! Cześć Jolka!

KUBA

NIEMEN WCIĄŻ W CZOŁÓWCE

Na prośbę Elżbiety Chojnackiej z Krakowa, Jerzego Piątkowiaka z Opalenicy i Andrzeja z Bydgoszczy zamieszczamy najnowsze zdjęcie Czesława Niemena oraz kilka jego złotych myśli:

— Sztuka to szczere zaangażowanie.

— Mój ideał w muzyce to połączenie harmonii, melodyki słowiańskiej z nowoczesną muzyką jazzową i beatową. Także motywy gregoriańskie i nieco bluesu.

— Krzyk w śpiewie jest dla mnie elementem ekspresji utworu.

— Nie muszą rozumieć mnie wszyscy. Jeśli na sali znajdzie się 20 osób, które mnie czują — to śpiewam dla nich.

Foto: K. Sędzikowski

Spróbuj Rozwiązać

WIRO — KRZYŻÓWKA

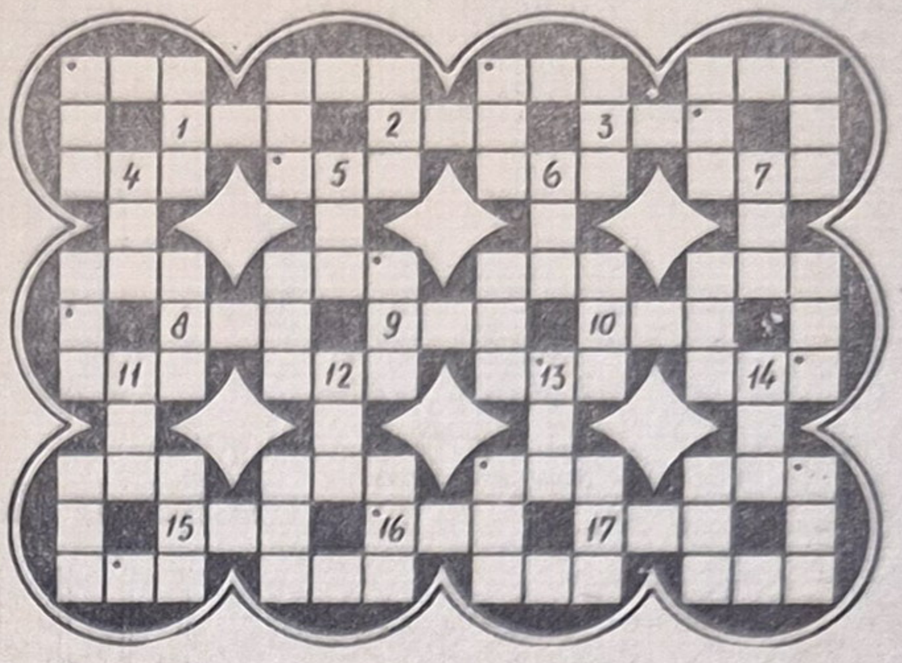

POZIOMO: 1) głos żeński, 2) medykament, 3) część przedstawienia scenicznego, 8) otoczony jest dziąsłem, 9) wokół boiska sportowego, 10) opłata graniczna, 15) przepływa przez Stargard, 16) siła, energia, 17) ciało lotne.

PIONOWO: 4) dzieło budowlanych, 5) przed strzelcem, 6) towarzyszka Stasia, 7) apel, wezwanie, 11) największa rzeka Afryki, 12) kaukaska wioska, 13) warzywo, 14) filmowa śpioszka (solenizantka w dniu 24 grudnia).

WIROWO (wyrazy ośmioliterowe, początek wpisywania w polu oznaczonym kropką, kierunek wpisywania zgodny z ruchem wskazówki zegarowej, wpisywać wokół czarnych kratek):

Rząd górny: żołnierz wojsk spadochronowych; — znak Zodiaku; — notes, zeszyt do zapisków; — forteca.

Rząd środkowy: kryty samochód osobowy; — niespodziewane potrącenie się, zderzenie; — część czaszki; — krótka ręczna broń palna.

Rząd dolny: miejsce wydobywania bogactw naturalnych: — teren podmokły; — ptak drapieżny podobny do jastrzębia; — twórcza wyobraźnia, pomysłowość.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 54 (2150)

LOGOGRYF WIĄZANY. Koniec roku szkolnego — wakacje. Znaczenie wyrazów: kokos—stopa, kiosk—kulig, konar—rondo, kwiat—trema, kleik—kogut, kucie—epoka, korek—kowal, klomb—brama, kokon—nakaz, klucz—zwada, kusza—akcja, Kozak—kajak, kukła—arena.

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) Krystyna Bielecka — Włocławek, 2) Lidia Boger — Poznań, 3) Damian Janeta — Wilchwy, 4) Helena Fic — Kraków, 5) Roman Kopeć — Jedlicze, 6) Małgorzata Matysiak — Łódź, 7) Grażyna Misiak — Sochaczew, 8) Piotr Staniszewski — Świdwin, 9) Helena Fajduś — Podłopień, 10) Jadwiga Uszok — Katowice.

TU ODCIĄĆ

INDIANIE WYRUSZAJĄ W DROGĘ

Indianie prerii zmieniali często miejsca swoich koczowisk. Zależne to było przede wszystkim od ilości zwierzyny, głównie bizonów, występujących w okolicy. Do koczowniczego trybu życia przystosowali Indianie również swoje namioty — tipi. Taki namiot, z rusztowaniem z żerdzi, pokryty skórą bizonów, dawał się łatwo rozbijać i zwijać. Tą ważną pracę zajmowały się indiańskie kobiety.

Skóry, futra, naczynia domowe i sprzęt ładowany był przed wyruszeniem w drogę na specjalne włóki. Przedstawiają je rysunki na tej stronie. Jedne włóki ciągnione są przez psa, drugie przez konia. Jeszcze w XVI, a nawet XVII wieku, przed masowym rozpowszechnieniem się wśród

Redaguje:
Włodzimierz Lewiński

CZEŚĆ!

Helenka Kubuszek proponuje, żeby lubiące przesiadywać w oknie panny nazwać okiennicami. Bardzo dobry pomysł. Romek Chojnacki twierdzi, że jemu biurokrata kojarzy się z kratą w biurze a kadrowiec to jest kadr z filmu o owcach.

Romek przysłał poza tym niezłe kalambury:

TATO MA ŻYCIE
TA, TO MA ŻYCIE
MIAŁEM TRZY
MIAŁ M-3

Niezły kalambur przysłała też Beata Kuśnierz:

- WĘGORZA LUBI MAREK, FRANEK, A LINA, MIETEK.
- WĘGORZA LUBI MAREK, FRANEK, ALINA, MIETEK.

★

Mam do wszystkich moich Czytelników taką prośbę: Jeśli komuś zdarzyło się w czasie wakacji coś bardzo śmiesznego, niech o tym napisze do mnie. Nie musi to być opowiadanie na cztery strony. Po prostu: RÓŻNE ŚMIESZNE DROBIAZGI — powiedzonka, kawały zrobione komuś, komiczne sytuacje. „Różne śmieszne drobiazgi" to będzie mój nowy stały kącik. Na początek „śmieszny drobiazg" z pewnego obozu wędrownego:

...„Alek Z. robił nam przez całe dwa tygodnie zdjęcia. Dziesiątki zdjęć! Właził na drzewa i skały, żeby mieć jak najlepsze ujęcia. Po obozie Alek dowiedział się od brata, który pożyczał mu aparat, że powinien był z d j ą ć pokrywkę z obiektywu!..."

Grupa Wędrowców z Katowic

Tak wyglądały zapewne wszystkie zdjęcia Alka.

Piszcie!

Wasz RZEP

Rys. W. Lewiński

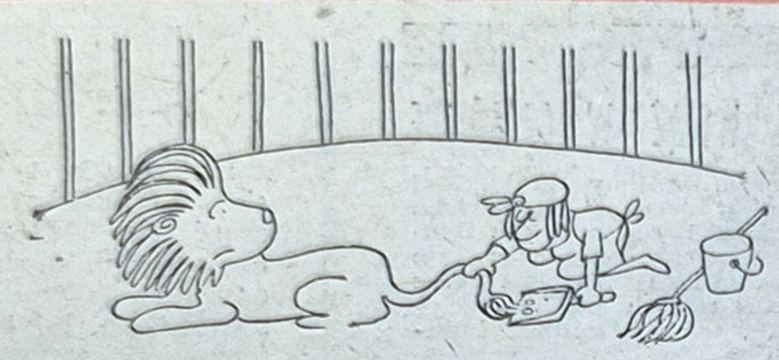

„Elle"

Wyszperała Beata Romanowska

WYSZPERANE DLA RZEPA

— No, jak bierze ryba?
— Kiepsko, w tym roku nawet najwięksi łgarze nic jeszcze nie złowili...

Wyszperała Wala Chursa

— To dziwne, że nikt na tej sztuce nie gwizdał.
— Pewnie dlatego, że trudno gwizdać, gdy się ziewa.

Wyszperała Hanka Rydzewska

— Jasiu, czemu nie odrobiłeś lekcji?
— Bo dziadek zapodział gdzieś okulary.

Wyszperał „WANIA"

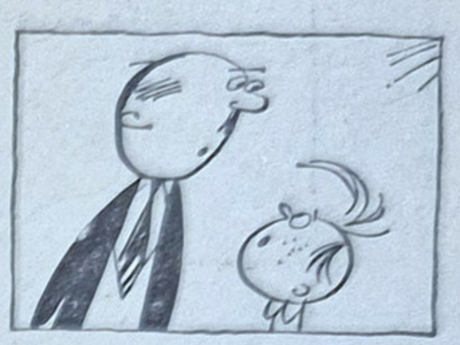

— Panie profesorze, podobno ziemia kręci się naokoło słońca...
— Oczywiście, Jacusiu.
— To w dzień. No a w nocy?

Wyszperał Rysiek Burzawa

Nagrodę „SZPERACZ TYGODNIA" otrzymuje Wala Chursa.

Rys. W. Lewiński

TU ODCIĄĆ

STR. 18 MAŁA KSIĘGA INDIAN

Indian koni, włóki ciągnione były wyłącznie przez psy.

Włóki składały się z dwóch (a czasem więcej) żerdzi od namiotów, przymocowanych do karku zwierzęcia. Końce drążków ciągnęły się po ziemi. Ciężary przymocowywano mniej więcej na połowie długości żerdzi.

Plemiona zamieszkujące nad rzekami i jeziorami używały do połowu ryb, do transportu wodnego, wypraw wojennych i do celów komunikacyjnych tzw. canoe. Były to lekkie, bardzo zwrotne łodzie o giętkim szkielecie pokrytym korą brzozową. Ich niewielka waga sprawiała, że mógł je przenosić na plecach jeden człowiek na odległość nawet wielu kilometrów.

Indianie z plemienia Mandan używali również łodzi innego typu. Był to rodzaj głębokiego dzwonu, którego szkielet pokryty był bardzo szczelnie zszytymi kawałkami skór bizonich. Całość uszczelniana była mieszaniną żywicy i tłuszczu zwierzęcego. Łodzie takie, choć cięższe niż canoe, były również łatwe do transportu lądowego.

W zimie, w okresie wielkich opadów śnieżnych, Indianie używali do chodzenia tzw. rakiet śnieżnych (patrz rysunek). Przypominały one swoim kształtem rakietę tenisową bez trzonka. „Siatka" rakiet pleciona była najczęściej ze specjalnie natłuszczanych rzemieni. Rakiety chroniły indianskich myśliwych przed zapadaniem się w zaspy śnieżne na bezdrożach. Umożliwiały pokonywanie w szybkim tempie znacznych nawet odległości.

Przy okazji omawiania różnych środków lokomocji warto przytoczyć garść informacji o słynnych indiańskich mustangach:

- **Indianie Ameryki Północnej ujrzeli pierwsze konie na początku XVI wieku. Pochodziły one od koni hiszpańskich zdobywców Meksyku z lat 1519—1521. Pierwsi używali koni Indianie z plemienia Krou i Czarnych Stóp.**
- **Na bezkresnych preriach północnoamerykańskich ukształtował się szczególny typ konia indiańskiego: silny, nieduży, o cienkich pęcinach.**
- **Indianie prerii mieli liczne modły i pieśni poświęcone rumakom. Po śmierci wojownika zabijano zazwyczaj również jego ulubionego wierzchowca, by zmarły mógł odbyć konno podróż do krainy wiecznych łowów.**
- **Wiele szczepów indiańskich miało wybitnych specjalistów w dziedzinie pielęgnacji i leczenia koni. Indiańskie konie nie znały owsa, żywiły się głównie trawą i delikatną korą drzew.**